

## Kartki Chopinowskie

---

Michał Klubiński

Chopin i jego okolicznościowe wystawy w mieście. Jakże łatwo podążać tropem Chopina swoich czasów, poruszającego się z gracją po salonach Warszawy, wytwarzającego wokół siebie sentymalny czar. Wystawy prowokują nieustanne rozważania nad Warszawą –dziewiętnastowiecznymi prowincjonalnymi Atenami, miastem pełnym klasycznej, doskonałej architektury i emanującym społecznikowską pasją. Ta pozorna namacalność pamięci, materialna obsesja i kult piękna (ryciny, portrety, nuty, przewodniki) pozostawia w dali zabory, rosyjską wyższość, dworski splendor cara. Tyle że jesteśmy w stanie bardziej zaufać tej naturalności, z którą Chopin przystawał do swojego XIX-wiecznego – wytwornego na sposób oświeceniowy – świata, bardziej, niż zdobywać się na patriotyczne gorzkie żale nad jego losem. Pamiętamy frenetyczny wybuch w dzienniku stuttgarckim, lament nad powstaniem Warszawy i antyczną figurą zbolełego ojca. Mickiewiczowską, obrazoburczą apostrofę do Stwórcy. Pamiętamy załamanie wiary w sztukę, zniesmaczenie swoim fortepianowym „brzdąkaniem”. I jeszcze mocniej stają nam przed oczami obrazy tej ufności życiu, jaką Chopin miał w Warszawie. Nie, to nie brak świadomości, gwałtownie zdemaskowany na emigracji. Po prostu wizja upadku miasta nie stanowi u kompozytora nic więcej niż teatr patriotycznej alegorii, odgrywanie swoich polskich steranych nerwów. Wystarczy to przeżyć, ustawić na miejscach bohaterów psychodramy, ukoić się z samym sobą. Muzyka wzbija się ponad wszystko. Wizja nie zrodzi jednak utworów programowych, jak chcieli współcześni mu Polacy, jest wstępem do niebywałego skupienia twórczego, do krainy abstrakcji – w 12. Etiudzie z op. 10 i ostatnim Preludium z op. 24. Asemantyczny, uniwersalny patriotyzm wykluwa się u Chopina ze zwątpienia w sens muzyki w obliczu przewrotnych dziejów. „Uchwycę się najsilniej tego we mnie, co najsłabsze” – mówiło jednak chopinowskie dzieło w *Dzienniku* Gombrowicza. Warszawski młodzieniec nie programuje swojej muzyki, tak jakby wiedział, że przyjdzie mu doświadczyć mroków. W skrytości przetapia tezy Brodzińskiego na lirykę mazurków. Zatapia się w czystym muzykowaniu, pozostając wrażliwy na gesty i pamiątki, nie na dworskie przywileje; jest rusofilem, nie będąc lojalistą. Jest rusofobem, nie będąc płomiennym patriotą.

\*\*\*

Kanon chopinistów wyczerpuje się. Przełomy modernistyczne, odstawiające w kąt szeroką narrację i masywne uderzenie na rzecz poetyki szczegółu, klasycznego piękna frazy i melodii, stają się z czasem ciemnymi wązami. Wielcy przywódcy chopinowskiego piękna ujmują blasku swojej niegdyś apollińskiej sztuce. Młodzi „archeolodzy”, znający szczegóły dziewiętnastowiecznego *touché*, palcowania, głębokość klawiszy i uderzenia młoteczków, poruszając

się spokojną drogą nabożnej tekstowości, wpadają co chwila na mur własnego histerycznego temperamentu. Od pomnikowej retoryczności starszych przez przyblakły opał 50-60-latków aż do młodej neurastenii? Czy nie czas przesunąć kanonu na lewo, w rejony wielkiej herezji? Pierwszy był Anderszewski ze swoim zimnym, alikwotowym, mało śpiewnym Chopinem. Ciągnie za sobą łańcuch boskich odszczepieńców, do którego włączyli się:

- Benedetti-Michelangeli, arystokrata tonów, rezygnujący dla Chopina z pełnego forte, mistrz zawieszonych, kapryśnych i dostojeństwa. Argerich, piekielna dama, znajdująca u Fryderyka frenetyzm, diabelski rytm po to, aby zachwyć się szklanym paciorkiem gamek i kantyleną wolnych ustępów
- Sułtanow, przedwcześnie zgasły – odkrywał w Chopinie wcielenia Mozarta oraz konstruktorów XIX-wiecznych pozytywek
- Pogorelich w swoim drugim okresie, romantyczny ekstrawertyk, z upodobaniem robiący Chopina mistrzem skrótów, ironii i bombastycznego tonu.

Jeśli przypomnimy sobie o Nebolsinie, Andsniesie, Kobrinie, Flitter, Montero, to widzimy, jak rzesza wyklętych klasyków i poszukujących młodych układa nam się w antykanon. Unię hermeneutów fortepianu, wielbicieli twórczości Baudelaire'a i chopinowskiego modernizmu. Czy Polska nie byłaby dobrą agorą dla owych Wilhelmów Tellów? Gdyby tylko pomysłodawcy koncertów przypomnieli sobie zdanie Mycielskiego: gust odbiorców muzyki jest rzeczą „zadaną”. Jeśli jest inaczej, roztopmy się w aurze zbiorowej modlitwy na cześć Patrioty. Żebyśmy tylko czasem nie uwierzyli Słowackiemu, że Chopin to *moribunda*.